

MARGINESY

Rysio

Po kolejnych zakupach z przyjaciółką Marysia zupełnie straciła głowę. Miała wybranych już siedem sukien ślubnych i zupełnie nie mogła się zdecydować, którą powinna kupić. Ślub miał się odbyć już za dwa miesiące, a większość rzeczy jeszcze nie była gotowa. Najbardziej bała się jednak czego innego – jej rodzice dopiero raz widzieli Ryśka i nie zrobił na nich piorunująco dobrego wrażenia. Właściwie to Rysiek na nikim nie robił dobrego pierwszego wrażenia.

Marysia poznała go dwa lata temu w parku, kiedy dosiadł się do niej i bez pardonowo rozpoczął rozmowę. Był wysoki, ale niezbyt przystojny – taka zwyczajna twarz, którą kilka minut po pierwszym spotkaniu łatwo się zapomina. On jednak na dobre przyczepił się do Marysi tamtego dnia. Wyciągnął ją na obiad, odprowadził do domu. Był dziesięć lat starszy, wygadany i budził w spokojnej i wstydliwej Marysi mieszane uczucia. Następnego dnia znów go spotkała – czekał na nią z bukietem stokrotek i rogalikami z samego rana. Wprosił się na kawę i laził za nią przez cały dzień. Historia powtarzała się tak przez kilka tygodni – spotykali się, spędzali ze sobą masę czasu, ona mocno się zadurzyła, ale tak naprawdę, patrząc na to z perspektywy czasu, Marysia nigdy zbyt wiele o nim nie wiedziała. Z jednej strony był gadułą, był bardzo otwarty i serdeczny, z drugiej – nigdy nie lubił rozmawiać o swojej przeszłości, o sobie mówił niewiele, a czasem mylił się w zeznaniach. Kiedy się poznali, Marysia była świeżo po studiach i w nagrodę rodzice kupili jej przytulne mieszkanie niedaleko centrum. Rysiek sypiał kątem u znajomych i nieznajomych, cały czas twierdził, że szuka pracy i kończy pisać swoją książkę, która miała okazać się hitem. Jakoś tak wyszło, że często przesiadywał u Marysi i w końcu wprowadził się ze swoją garstką rzeczy na dobre.

Właściwie to było im razem dobrze – słuchali wspólnie muzyki, chodzili do kina, robili pikniki, często razem gotowali. Rysiek zaczął pracę w sklepie płytowym, z której nie miał wielkich pieniędzy, ale Marysi zupełnie nie przeszkadzało, że w rezultacie częściowo go utrzymywała. Miała zamożnych rodziców, sama całkiem nieźle dawała sobie radę, a relacja z Ryśkiem była jej pierwszym długim, udanym, spokojnym związkiem praktycznie bez żadnych większych kłótń i trosk.

Gdy zobaczyła pozytywny wynik na teście ciąży, przysiadła z przerażenia. W sumie do końca nie wiedziała, czy powinna się cieszyć. Jej wątpliwości rozwiął Rysiek, który tego dnia pobiegł po duży bukiet jej ulubionych żółtych tulipanów i przez cały wieczór świętowali przy bezalkoholowym szampanie. Dwa dni później Rysiek się jej oświadczył. Mimo to Marysia długo wstrzymywała się z przekazaniem wszystkich tych wieści rodzicom. Trochę bała się reakcji ojca, który kiedyś razem z mamą chciał zrobić jej niespodziankę poranną weekendową wizytą i zamiast niej zobaczył włochatą klatę Ryśka ubranego tylko w bokserki. Niby wszystko później się wyprostowało – zjedli śniadanie wspólnie, rodzice cieszyli się, że Marysia wreszcie znalazła chłopaka, ale jednak jakiś niesmak pozostał. No i ojcu Marysi coś ciągle nie pasowało, ale tłumaczył to sobie tym, że przecież to jego jedyna córeczka i to pewnie dlatego... Żeby zagłuszyć swoje wyrzuty sumienia związane z tym, że nie polubił chłopaka, który uszczęśliwił jego córkę, kupił jej (a w praktyce – jemu) nowy samochód i obiecał pomóc w znalezieniu Ryśkowi lepszej pracy...

Ciąża przebiegała wzorcowo, a jedynymi zmartwieniami Marysi były ślubne przygotowania i ten nieszczęsny wybór sukienki. I wtedy, gdy razem z przyjaciółkami próbowały różnych smaków tortów, które mogłyby pojawić się na weselu, do mieszkania Marysi zapukała Anna.

Anna nie miała zamiaru ukrywać powodów swojej wizyty – obserwowała Marysię od jakiegoś czasu i teraz przyszła wszystko wyjaśnić. Pod ręką miała duży album ze zdjęciami, a w nim fotorelację z tych lat życia Ryśka, o których Marysia wiedziała tak niewiele. Koniec studiów, wakacyjne wyjazdy na żagle, praca w Stanach, osiem lat temu – ślub z Anną i narodziny ich pierwszego dziecka. Więcej Marysia nie zobaczyła, bo zasłabla... Karetka odwiozła ją do szpitala, gdzie podano jej tlen, środkiem uspokajające, dokładnie ją zbadano. Po godzinie w szpitalu pojawił się nieświadomy przyczyny stanu swojej narzeczonej Rysiek. Chciał natychmiast zobaczyć Marysię, jednak pierwsze, co go spotkało na izbie przyjęć, to lewy sierpowy jej ojca. Gdy się ocknął, zobaczył nad sobą także Annę.

Nie widział jej już od kilku lat – od czasu, kiedy pewnego ciepłego poranka obudził go ryk ich synka, a on popatrzył na niego i pomyślał, że nie o takim życiu marzył. Anna miała wtedy porządną depresję, była zaniedbana i niezdolna, a dla Ryśka jedynym rozwiązaniem, jakie widział, była ucieczka. Tamtego dnia spakował po kryjomu niewielką torbę, z którą zazwyczaj chodził na tenisa, i z tymi dosłownie kilkoma rzeczami, bez troski i wielkich wyrzutów sumienia, ruszył przed siebie, licząc, że naprawdę uda mu się zacząć życie od nowa.

Marysia urodziła zdrową, śliczną córeczkę. Jej przyjaciółka razem z mamą usunęły z mieszkania wszystko, co mogłoby się jej kojarzyć z Ryśkiem, ale dziewczyna i tak zdecydowała, że tam nie wróci. Gdy mała miała dwa miesiące, z dzieckiem pod pachą zdecydowała się wyjechać do Brukseli. Zerwanie wszystkiego, co było związane z Ryśkiem, było dla niej bolesne, ale właściwie łatwe – potraktowała go jak zły sen, z którego wynikała jedna dobra rzecz, czyli mała Marlenka. Przez kilka miesięcy opiekowała się tylko małą, później znalazła fajny staż, a w niedługim czasie – dobrą pracę. Gdy mała poszła do przedszkola, Marysia, która postanowiła, że do czasu, gdy Marlenka nie podrośnie, na pewno z nikim się nie zwiąże, mimo wszystko do szaleństwa zakochała się w przyjacielu znajomych. Długo się broniła, ale w końcu pozwoliła, by razem zamieszkali, niedługo po tym jej córeczka zaczęła mówić do jej chłopaka „tato”, a on wcale nie protestował. Marysia mimo wszystko postanowiła jednak, że nigdy nie zdecyduje się wyjść za mąż.

Jeśli zaś chodzi o Ryśka, to po raz kolejny zmienił miasto, nie wysłuchał prośb Anny i nie spotkał się ze swoim synem. Znowu zniknął jak kamfora.

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Bzdurna reforma

Nasza futbolowa ekstraklasa finiszuje. Wiadomo już, że szanse na mistrzowski tytuł mają praktycznie tylko dwie drużyny – Legia Warszawa i Lech Poznań. Prawdopodobnie w meczu między tymi zespołami zapadną ostateczne decyzje w sprawie mistrzowskiego tytułu. Chyba że wcześniej wymienione drużyny stracą punkty. Toczy się jeszcze rywalizacja o miejsce w czołowie, które daje prawo gry w eliminacjach Ligi Europy. Na dole tabeli ambitnie o utrzymanie się w ekstraklasie walczy drużyna Podbeskidzia Bielsko-Biała.

Jest nieco emocji w rywalizacji drużyn naszej ekstraklasy, nie przekłada się to jednak na poziom spotkań – nadal na naszych boiskach oglądamy mizerny futbol. W poszczególnych spotkaniach widać słabutkie wyszkolenie indywidualne zawodników, nie najlepszą sprawność fizyczną i wytrzymałość. Do tego można jeszcze dodać brak myśli taktycznej widoczny w grze naszych drużyn. Ot, po prostu zwykła kopanina piłki, z której coś może, ale nie musi wynikać. We wszystkim tym kłania się słabutki poziom szkolenia w klubach.

Na finiszu rywalizacji w ekstraklasie rozpętała się dyskusja nad zmianami w dotychczasowym systemie rozgrywek. Reformatorzy zaproponowali, by po sezonie zasadniczym (30 kolejek) ekstraklasa była podzielona na pół. Zespoły z miejsc 1–8 rozegrałyby siedem dodatkowych spotkań o mistrzostwo, po jednym z każdym. Natomiast drużyny od 9 do 16 – siedem pojedynków o utrzymanie. Według pierwszej wersji punkty zdobyte w sezonie zasadniczym miałyby być podzielone na pół (dziwaczna propozycja). Pod koniec kwietnia br. władze Ekstraklasy SA przedstawiły projekt z siedmioma dodatkowymi spotkaniami, ale bez podziału punktów.

Na taką wersję nie chce się zgodzić PZPN. Prezes Zbigniew Boniek uznał, że ten podział punktów po sezonie zasadniczym miał uatrakcyjnić ligę, byłoby zatem więcej meczów o stawkę. W najbliższych dniach ma się cała sprawa rozstrzygnąć. Jeżeli nie dojdzie do porozumienia między PZPN a władzami Ekstraklasy SA, to w nowym sezonie będzie obowiązywał dotychczasowy system rozgrywek (30 kolejek – mecz u siebie i na wyjeździe).

O co w całej tej sprawie chodzi? Jest grupa działaczy, która uważa, że zespoły naszej ekstraklasy powinny rozgrywać więcej mistrzowskich spotkań. Druga grupa jest temu z kolei przeciwna. Jedni i drudzy mają swoje racje. Zastanówmy się, czy zwiększenie liczby rozgrywanych meczów mistrzowskich

wpłynie pozytywnie na wzrost poziomu w naszej ekstraklasie. Moim zdaniem tak nie będzie. Wspomniałem wcześniej, że zdecydowana większość zawodników w klubach naszej ekstraklasy jest słabo wyszkolona technicznie i nie prezentuje się zbyt korzystnie pod względem ogólnej spraw-

ności fizycznej. Obciążenie ich dodatkowymi meczami na końcu rywalizacji nie wpłynie więc dobrze na ich formę i dyspozycję. W dodatku poszczególne kluby mają wąską ławkę rezerwowych, którzy mogą wybiec na boisko i wnieść coś dobrego do gry. Owszem, mogą wybiec, ale ich umiejętności są mizerne. Z kolei wymyślony podział punktów po sezonie zasadniczym uważam za dziwactwo.

Nie wiem, po co komu zmiany w dotychczasowym systemie rozgrywek. W szanujących się krajach, w których w ekstraklasach futbolowych poziom jest wysoki, od lat system rozgrywek jest ustabilizowany. Każdy z każdym, mecz i rewanż. Różnice są jedynie w liczbie drużyn występujących w ekstraklasie.

Jest parę krajów, m.in. Szkocja, w których liczba występujących w ekstraklasie drużyn nie przekracza 12. Wtedy w drugiej fazie rozgrywek dzieli się ligę na pół – zespoły z górnej połówki grają o mistrzostwo i ewentualnie o prawo gry w eliminacjach Ligi Europy, zaś pozostałe walczą o przetrwanie.

Uważam, że dotychczasowy system rozgrywek naszej ekstraklasy jest dobry. Jest 16 drużyn i na polskie warunki jest to wystarczająca liczba. Dodawanie dodatkowych meczów według pomysłu władz Ekstraklasy SA niczego dobrego nie wniesie do naszego rodzimego futbolu. Nie tędy wiedzie bowiem droga do podniesienia poziomu rywalizacji w polskiej lidze. Dodatkowe mecze ograniczą ponadto możliwości szkoleniowe w poszczególnych klubach, a zawodnikom występującym w zespołach naszej ekstraklasy (i nie tylko w tej lidze) potrzebne są bardziej intensywne i przemyślane zajęcia szkoleniowe. Po prostu – należy nadrobić braki.

Uważam, że zamiast kombinować i dyskutować nad zmianami w systemie rozgrywek, nasi szanowni działacze z władz Ekstraklasy SA i PZPN winni zająć się sprawami szkoleniowymi – i to w szerokim tego słowa znaczeniu – od młodzieży począwszy. Powinni przeanalizować poziom zajęć w szkołach o profilu futbolowym i skierować do tych szkół lepszych fachowców (trenerów i instruktorów). Winni także wesprzeć, również finansowo, te kluby, w których rozwinięta jest praca z młodzieżą. Wypadałoby też zainteresować się zajęciami futbolowymi w młodzieżowych ośrodkach sportowych (MOS), które funkcjonują w niemal każdej większej miejscowości. I jest jeszcze jedna sprawa, o której nikt nie chce głośno mówić – chodzi mianowicie o umiejętności naszych trenerów. Uważam, że szkolenie futbolowej kadry trenerskiej w naszym kraju stoi na naprawdę niskim poziomie. Wprawdzie pan Jerzy Engel powiedział nie tak dawno, że polska futbolowa myśl szkoleniowa należy do wyróżniających się w Europie. Osobiście zaliczam tę wypowiedź do kiepskich dowcipów, bo jak dotąd żadnemu z polskich trenerów nie proponuje się prowadzenia zagranicznego zespołu. Ostatnio do Niemiec udał się Franciszek Smuda, ale drużyna, którą prowadził, spadła z drugiej ligi.

Kończąc, jeszcze raz stwierdzam, że nie zmiany w systemie rozgrywek podniosą poziom rodzimego futbolu. Pozytywnie może na to wpłynąć lepsze szkolenie zawodników początkujących i tych, którzy biegają za piłką w klubach ekstraklasy i niższych klas rozgrywkowych.

